

Wojenne wspomnienia Leona Kopelmana.

Okupacja, getto

Zapraszamy do poznania wojennych wspomnień Leona Kopelmana. Warszawiak z urodzenia, przeżył piekło warszawskiego getta. W pierwszych dniach sierpnia 1944 został wyzwolony z Gęsiówki przez żołnierzy batalionu „Zośka”. Jako ochotnik przeszedł z bronią w rękę szlak bojowy zgrupowania „Radosław” ze Starego Miasta na Czerniaków. Po wyzwoleniu w 1945 r. wraz z kolegą wyjechał do starożytnej kolebki swojego narodu – Palestyny.

Urodziłem się w Warszawie w 1924 r. Rodzice moi przede mną mieli córkę **Gutę**, ur. 27.10.1918 r., absolwentkę gimnazjum Zjednoczenia Nauczycieli. Studiowała ona 2 lata na Uniwersytecie Warszawskim, wyszła za mąż i w 1938 r. wyjechała z mężem do Palestyny, dziś żyje w Izraelu.

Rodzice moi mieli w Warszawie sklep, który prowadziła moja mamusia, firma nazywała się „Bronisława”. Był to bardzo ładny sklep z konfekcją. Nasza sytuacja ekonomiczna była zupełnie przyzwoita. Nie byliśmy bardzo bogaci, ale żyliśmy nieźle. Moje młodsze lata upłynęły bez żadnych problemów. Miałem wielu kolegów, na ogół Polaków. Okolica nasza była zamieszкана przez ludność polską, niewielu było Żydów, którzy mieszkali w tej okolicy. Żydzi na ogół mieszkali w tzw. dzielnicy żydowskiej, słynna była ulica Nalewki.

Ja chodziłem do szkoły polskiej na ul. Poznańskiej w Warszawie. Szkołę tę skończyłem i przez 2 lata uczyłem się w gimnazjum w Warszawie.

Na tym, niestety, moja edukacja się skończyła, potem jak wiadomo przez 6 lat była wojna. Później miałem rozmaite przygody, bo chciałem wyjechać do Palestyny, żeby być razem z moim ojcem i siostrą. Mama moja niestety w czasie jednej z akcji w getcie w 1942 r. została schwytana przez Niemców i wywieziona do Treblinki. Od tego czasu niestety nie miałem już od niej żadnej

wiadomości.

Wróćmy do początku wojny. Przed wojną, kiedy wiadomo było, że wojna na pewno wybuchnie, tak głośno wszystkie wiadomości w prasie, podjęliśmy różne przygotowania. Między innymi kopaliśmy w parkach publicznych, w ogrodach, klombach, podwórkach powyginane rowy, które miały służyć jako schrony przeciwlotnicze. Ja osobiście należałem do organizacji zwanej LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej). Wszyscy oczekiwali na wybuch wojny, który nastąpił 1 września 1939 r.

Kiedy Niemcy rozpoczęli inwazję na Polskę tego samego dnia nad ranem zaczęli bardzo mocno bombardować Warszawę. Dużo budynków zostało uszkodzonych, było dużo zabitych i rannych, wybuchła panika. Czas płynął. My mieszkaliśmy na parterze w dość dużym mieszkaniu. Składało się ono z 3 pokoi i olbrzymiej kuchni, która była połączona z naszym sklepem przy **ul. Kruczej 7**.

Kuchnia była usytuowana nieco niżej i miała oddzielne wejście z bramy. Nasz dom był olbrzymi, miał 3 podwórka. Mieszkańcy naszego domu, szczególnie z wyższych pięter zebrali się w naszej kuchni. Było tam łącznie kilkadziesiąt osób. Wszyscy sądzili, że nasza kuchnia będzie stosunkowo bezpieczna w czasie bombardowania. Szczęśliwie nasz dom nie został w ogóle uszkodzony. W kuchni ciągle przebywała masa ludzi, mama starała się nimi jakoś zająć. Miała duże garnki, w których gotowała jedzenie dla sąsiadów. Niestety w tej sytuacji szybko skończyły się zapasy i ja z chłopakami poszliśmy szukać możliwości ich uzupełnienia.

W **Dolinie Szwajcarskiej**, kiedy zaczęły się pożary, otworzono państwowe magazyny żywności, każdy mógł brać co tylko mógł zabrać ze sobą. Myśmy zabrali worki mąki, cukru i innych produktów i przydźwigaliśmy do domu na Kruczej. Bardzo się one potem przydały. Na Czerniakowie była fabryka ogórków konserwowych. Gdy zapaliła się ona od niemieckich bomb, ogłoszono w radio, że każdy tam może pójść i zabrać za darmo duże puszki tych ogórków. Oczywiście skorzystaliśmy z tej okazji.

Jak widać sytuacja zaopatrzeniowa była raczej trudna. Mięsa w ogóle nie było. Czasami można było zdobyć trochę mięsa z leżących zabitych koni. Pamiętam jakie smaczne było końskie mięso,

które czasami jedliśmy.

Po mniej więcej tygodniu od rozpoczęcia wojny, burmistrz Warszawy ogłosił, że mężczyźni od młodzieży do osób starszych mają ewakuować się z Warszawy i zacząć marsz na wschód w kierunku Rosji. Pomyślałem sobie, że ruszę z innymi. Pożegnałem się z moją mamusią, zabrałem plecak i zacząłem iść w kierunku mostu Poniatowskiego. Zbliżając się do mostu zobaczyłem tam olbrzymie masy ludzi. Na moście było wprost czarno od nich. Pomyślałem sobie co będzie z tą całą ludnością. Wszyscy szli na piechotę. Dokąd oni dojdą, pomyślałem, kilka kilometrów na wieś. Gdzie będą mogli przenocować, co będą jeść i co dalej robić ze sobą. Stwierdziłem, że to głupi pomysł, nie idę dalej, wracam do domu.

Okazało się, że podjąłem słuszną decyzję. Ci co dalej poszli byli ostrzeliwani przez niemieckie samoloty. Wielu z nich zostało zabitych lub rannych, inni nawet doszli do rozmaitych wsi i miasteczek ale nie było tam dla nich ani miejsca do spania ani żywności. Większość wróciła w związku z tym po dużych kłopotach z powrotem do Warszawy.

Potem zaczęła się okupacja. Niemcy na ulicach łapali ludzi, którzy mieli semicki wygląd, Żydów i zmuszali ich do pracy. Łapali również i mnie. W okolicy było dużo zrujnowanych domów, między innymi niemiecka ambasada lub konsulat na ulicy Pięknej, niedaleko mojego domu. Musieliśmy pracować codziennie po kilka godzin przy porządkowaniu zniszczeń, oczywiście żadnej zapłaty za to nie było. Trwało to kilka dni.

Potem ukazało się ogłoszenie – nakaz żeby Żydzi przygotowali się do opuszczenia aryjskiej części Warszawy. Wszyscy mieli się przenieść do dzielnicy żydowskiej, w której będzie wybudowane specjalnie dla Żydów getto. Dopuszczono możliwość wymiany mieszkań z Polakami, którzy aktualnie mieszkali na terenie, gdzie miało powstać getto. Polacy również byli zmuszeni do opuszczenia swych mieszkań i domów położonych na terenie przyszłego getta. Na mieście pojawiły się ogłoszenia z propozycjami mieszkań na wymianę.

My znaleźliśmy jakiegoś pana, który mieszkał na **ulicy Ceglanej**. Wprawdzie jego mieszkanie było znacznie mniejsze niż nasze, nieduże 2 pokoje, ale byliśmy zadowoleni z faktu, że w ogóle

udało nam się dokonać zamiany. Przy pomocy wózka z koniem przewieźliśmy nasze graty i przenieśliśmy się do getta.

Po pewnym czasie Żydzi na polecenie Niemców zaczęli wokół getta budować mur, w którym było kilka bram. Żydom nie wolno było opuszczać getta a Polakom bez specjalnego zezwolenia nie wolno było wchodzić na jego teren. Na mieście pokazały się specjalne plakaty, że niby w getcie są rozmaite zakaźne choroby, jak tyfus i inne, i dlatego lepiej się do niego nie zbliżać.

W getcie był straszliwy bałagan. Niemcy sprowadzili tu Żydów ze wszystkich podwarszawskich miejscowości. Wszystko było przepełnione. Nie było środków czystości, zaczęły szerzyć się choroby. Biedota żydowska, która została tu przywieziona, nie miała środków do życia. Ludzie nie mieli co jeść i gdzie spać.

Potem zaczęły się kolejne akcje, w czasie których wyłapywano Żydów, wywożono ich na Umschlagplatz a stamtąd do obozów.

W jednej z takich akcji, po około 2 latach pobytu w getcie, w czerwcu 1942 r., złapano moją mamę. Gdy wróciłem z pracy, już jej nie było. Została wywieziona do Trebłinki i niestety więcej już o niej nie słyszałem.

W getcie było coraz gorzej. Nie było co jeść. Prawie codziennie znajdowano trupy dzieci zmarłych z głodu. Zwłoki zmarłych dzieci zbierano na wózek i wywożono aby je pochować w zbiorowych mogiłach.

Zameldowałem się do pracy u Niemców. Niemcy przychodzili do getta i zabierali grupy Żydów do różnych prac. Ja byłem w jednej z nich, 30-osobowej grupie. Pracowaliśmy w Warszawie na placu Narutowicza. Przed wojną był tam dom akademicki, olbrzymi dom, było w nim może z 1.000 pokoi. Teraz stacjonowała tam niemiecka żandarmeria. Codziennie przyjeżdżali po nas do getta.

Zajmowaliśmy się wyładowywaniem węgla i koksu z wagonów kolejowych do wózków. Dwójka z nas rozładowywała 20 do 30 ton a inni rozładowywali te wózki w domu na Placu Narutowicza. Pracowaliśmy też w stajni, bo Niemcy tzw. Schutzpolizei mieli też jednostki na koniach. Praca była ciężka ale przynajmniej dostawaliśmy tam coś do jedzenia i nawet pozwalano nam trochę żywności zabrać ze sobą do domu. Tak płynął dzień po dniu.

W 1942 r. była jedna z kolejnych akcji powtarzających się co kilka miesięcy. Niemcy nie przyjechali zabrać nas do roboty a myśmy schowali się przed łapanką w dole, który uprzednio wykopaliśmy. Na tym dole położyliśmy stare drzwi, maskując wejście i tam ukryliśmy się aby przeczekać akcję.

W czasie następnej akcji, która zaczęła się w styczniu 1943 r. jak zwykle ukryliśmy się w naszym dole, drzwi były już pokryte śniegiem. W międzyczasie pokazaliśmy żandarmowi, który po nas przyjeżdżał gdzie jest nasza kryjówka. Niemcom zależało na naszej pracy, bez nas byli zupełnie bezradni. W czasie styczniowej akcji Hans, tak się nazywał żandarm z placu Narutowicza, przyjechał opancerzonym samochodem ciężarowym do getta.

Wiedział, gdzie nas szukać. Podeszedł do leżących ośnieżonych drzwi i zawołał: „To jestem ja, Hans, wychodźcie”. Wyszliśmy z kryjówki. Powiedział, że przyjechał zabrać nas do pracy. Zastanawialiśmy się czy mówi prawdę, czy też chce nas wykończyć. Część naszej grupy ukryła się w schronie w domu naprzeciwko. Naradzaliśmy się między sobą nie wiedząc co robić. Czy zawołać kolegów żeby wyszli, czy udać że nie wiemy gdzie jest reszta. W końcu postanowiliśmy, że jeśli jesteśmy zgubieni to razem, my i reszta grupy. Poszliśmy do nich i oni też opuścili swoją kryjówkę. Żandarm wywiózł nas z getta, a akcja trwała wtedy stosunkowo krótko.

Wtedy też rozpoczęły się walki w getcie. Podziemne grupy z ŻOB – Żydowskiej Organizacji Bojowej podjęły walkę z Niemcami. Po strzelaninie Niemcy wycofali się chwilowo z getta. My w czasie strzelaniny zostaliśmy w Domu Akademickim na placu Narutowicza. Chodziliśmy tam do pracy do kwietnia 1943 r, do czasu kiedy wybuchło powstanie w warszawskim getcie. Od tego czasu nie brali nas już do pracy.

Mam u siebie książkę którą kilka lat temu dostałem od pana **Leona Wanata**. Książka nazywa się

„Za murami Pawiała”. Pan Wanat był w swoim czasie pisarzem na Pawiaku i miał rozmaite listy byłych więźniów. Między innymi w tej książce są wymienione duże listy nazwisk Polaków, którzy byli w swoim czasie aresztowani przez Niemców. Duża część z nich była więziona na Pawiaku z czego bardzo duża część była poddana egzekucji w budynku naprzeciwko Pawiała, inni na byłym placu Zamenhoffs. Inni zostali wysłani do obozów w rozmaitych kierunkach. Książka była wydana przez Książkę i Wiedzę. Było kilka jej wydań.

Po zamknięciu getta Niemcy utworzyli tam niby taką policję żydowską, która się po niemiecku nazywała **Hilfspolizei** – policja pomocnicza. Między innymi mieli oni za zadanie zbierać Żydów, którzy byli w ciężkich warunkach i doprowadzać ich na Umschlagplatz, skąd wyjeżdżały wagony do obozów. W getcie było dużo ludzi żyjących w bardzo złych warunkach. Nie mieli oni gdzie mieszkać, nie mieli co jeść. Dlatego też Niemcy stosowali różne podstępny jak namówić Żydów żeby dobrowolnie zgłosili się na Umschlagplatz. Między innymi przyrzekali, że jeśli się ktoś samodzielnie pojawi na Umschlagplatzu, dostanie natychmiast 2 kg chleba, marmoladę itd. Byli ludzie, którzy uwierzyli i poszli. A Niemcy cały czas kłamali. Chcieli zachęcić jak najwięcej Żydów do wywózki, a była to wywózka do śmierci.

Kiedy indziej ogłosili, że ludzie którzy mają maszynę do szycia mogą się zgłosić do tzw. szopy, takie warsztaty firmy Tebens lub inne. Była firma Schulz, byli szczotkarze wyrabiający szczotki. Było powiedziane, że jeśli ktoś zamelduje się tam do pracy to dostanie od Niemców taki dowód, tzw. **Arbeitskarte**, która niby będzie chroniła go przed wywózką. Dopóki będzie ją posiadał i pracował, będzie bezpieczny. Potem się okazało, że przy najbliższej akcji łapali i wywozili wszystkich, i tych co mieli i tych co nie mieli zaświadczenia pracy. Tak samo było z żydowskimi policjantami. Niemcy przyrzekli im, że nie przytrafi się nic złego zarówno im jak i ich rodzinom. Potem się okazało, że wykończyli również ich rodziny.

Przychodziły listy niby z obozu pracy w Trawnioskach. Pisali je niby Żydzi. Ja sądzę, że rzeczywiście pisali to Żydzi, ale pod przymusem. W listach tych opowiadano, że mają tam doskonałe warunki i że jest tam raj na ziemi. Wszystko było organizowane tak, aby ludzie sami meldowali się do tego wyjazdu.

Wspominałem już, że warunki w getcie były okropne. Dzieci umierały z głodu. Nie było żadnych warunków sanitarnych. Zaczęły się epidemie tyfusu i innych chorób. Dlatego Niemcy pisali na murach i bramach getta, że jest to teren niebezpieczny i nie wolno tam się zbliżać z powodu chorób i groźby epidemii.

Akcje wywózkowe były co kilka miesięcy. Po każdej takiej akcji Niemcy robili nową aferę, że niby to od nowa rekrutują ludzi do pracy, że tym razem będą dawali im takie porządne dowody, że zapewnią im one wolność i bezpieczeństwo. Potem okazywało się, że było to kolejne oszustwo. Ludzie nie mieli innej możliwości. Żywili się złudzeniami, że być może pomoże to im przeżyć.

Ostatnia akcja zaczęła się **19 kwietnia 1943 r.** Wtedy już nie chodziliśmy do pracy. Podobnie jak poprzednio Niemcy po wejściu na teren getta zostali ostrzelani, ponieśli straty. Zmienili więc taktykę. Otoczyli całe getto dużą ilością wojska, podciągnęli artylerię i zaczęli palić dom po domu. Myśmy mieli tam niby takie różne bunkry, schrony, ale przed ogniem nie ma ratunku. W tej sytuacji wszyscy, również ci, którzy byli w organizacjach podziemnych i walczyli z Niemcami, nie mieli innego wyjścia i poddawali się. Niemcy wszystkich zabierali na Umschlagplatz. Postanowiłem, że nie chcę być spalony, odrzuciłem broń i zszedłem na dół wraz z innymi.

Na Umschlagplatzu panowały straszne warunki. Niemcy strzelali nad głowami ludzi. Panował wielki strach. Znalazłem się w grupie, którą wybrali Niemcy, mniej więcej 30-40 osób. Postawili nas w rzędach i każdego z nas pytali jaki mamy fach, czym się zajmujemy. Ja nie miałem żadnego fachu, nie wiedziałem co powiedzieć. Usłyszałem jak człowiek który stał przede mną powiedział, że był szoferem, a inny że był mechanikiem. Pomyślałem sobie, że powiem to samo. Gdy podeszli do mnie powiedziałem, że jestem mechanikiem samochodowym. Tego szofera, mechanika, mnie i jeszcze kilku innych skierowano na bok. Całą naszą grupę Niemcy wywieźli do warsztatów kolejowych na Ost Bahn w Warszawie. Pracowaliśmy tam przez 3 miesiące przy rozmaitym żelastwie. Było to stosunkowo niedaleko od terenu getta, słyszeliśmy z daleko strzały armatnie, widzieliśmy płomienie, szczególnie w nocy. Getto płonęło przeszło 3 miesiące.

W czasie ostatecznej likwidacji getta mała grupa Żydów wydostała się z getta kanałami. Większa część z nich poszła potem do partyzantki i niektórzy przeżyli wojnę.

Pewnego dnia zobaczyliśmy, że Niemcy z karabinami maszynowymi otoczyli baraki, w których mieszkaliśmy i wybrali z naszej grupy 30 osób. Przewieziono nas na Gęsiówkę. Z Gęsiówki byliśmy codziennie przewożeni na Dynasy, gdzie były dwa niemieckie garaże samochodowe. Jeden garaż był dla Schupo, żandarmerii niemieckiej. W drugim garażu reperowano auta Gestapo mającego główną siedzibę w Alei Szucha.

Pracowaliśmy tam razem z robotnikami Polakami. Polakom Niemcy płacili. Nam nie płacono za pracę, dostawialiśmy tylko jakieś jedzenie na Gęsiówce. Po jakimś czasie poznaliśmy się z robotnikami Polakami i ci opowiedzieli nam, że przed nami pracowali w garażach od kilku lat również Żydzi. Byli to specjaliści, znający swój fach. Potem wywiązał się spór pomiędzy Niemcami z Einsatzgruppe wywożącymi Żydów a dyrekcją garaży. Ci pierwsi postanowili zabrać na wywózkę pracujących w garażach Żydów. Dyrekcja opierała się mówiąc, że się absolutnie na to nie zgadza, nie chce stracić dobrych fachowców. Mówili, że grozi to utratą sprawności policyjnych i gestapowskich samochodów. Trwało to jakiś czas.

Wreszcie Niemcy z Einsatzgruppe postawili na swoim i zabrali Żydów z garażu. Powiedzieli dyrekcji, że nie ma żadnego problemu, dostaną nowych Żydów. Nie wiadomo co się stało z zabranymi żydowskimi mechanikami. Prawdopodobnie pojechali do obozu zagłady. I w ten sposób w garażach pojawiliśmy się my. Zrozumiałe, że między nami tak naprawdę nie było żadnych fachowców mechaników. Jednak pomagaliśmy jak najlepiej umieliśmy pracującym tam Polakom i powoli nauczyliśmy się tego co trzeba.

Pewnego dnia powiedziano nam, że z Gęsiówki przenoszą nas na Pawiak. Tak się rzeczywiście stało. Stamtąd codziennie byliśmy przewożeni, a czasami wracaliśmy piechotą, pod eskortą, z Dynasów na Pawiak.

Na Pawiaku wielokrotnie widzieliśmy rozstrzeliwanych polskich zakładników. Niemcy co pewien czas aresztowali polską elitę, na ogół lekarzy, adwokatów i innych tego rodzaju ludzi. Na mieście wywieszano ogłoszenia, że jeśli będzie jakiś zamach na Niemca, wtedy ci zakładnicy zostaną zabici. I rzeczywiście tak oni to robili. Wielokrotnie widzieliśmy nad ranem, kiedy wyprowadzali zakładników. Byli oni w ogóle bez ubrania, tylko kalesony, oczy zakryte szmatką, ręce związane z

tyłu. I słyszeliśmy, a nieraz też widzieliśmy, że naprzeciwko Pawiaka, na ulicy Pawiej w bramie ich rozstrzeliwali. Był też plac Zamenhoffa, gdzie ich rozstrzeliwano. Powtarzało się to od czasu do czasu.

Myśmy chodzili do pracy. Na Pawiaku byli różni Żydzi funkcyjni, którzy wykonywali tam różne prace. Był tam jeden blacharz z synem, nazywał się **Fronenberg**, miał syna Maxa. Był też jeden gość, którego nazwiska nie pamiętam, myśmy nazywali go królikarz. Hodował on na Pawiaku króliki dla Niemców, którzy brali te króliki ze sobą do domu, kiedy jechali na urlop do Niemiec. Widocznie w Niemczech było w tym czasie kiepsko z mięsem.

Był też jeden, który prowadził łaźnię, dlatego że w celach na Pawiaku nie było żadnych umywarek. Raz na tydzień prowadzili nas do łaźni, gdzie mogliśmy się umyć. Była tam też duża stolarnia, gdzie pracowali Żydzi. W stolarni tej, jak się później okazało, kopali tunel, chcieli wykopać dojście do kanałów miejskich.

Leon Kopelman, ur. 26.04.1924 r. w Warszawie, ocalony z getta warszawskiego żołnierz-ochotnik batalionu „Zośka” zgrupowania AK „Radosław”

Autor: Leon Kopelman

Data publikacji: 2019-10-02

Data wydruku: 2023-02-28 19:22

Źródło: <https://1943.pl/artukul/wojenne-wspomnienia-leona-kopelmana-okupacja-getto/>